



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spółt., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

NAD GŁĘBIAMI.

II.

Wieczne ciemności! bezdenne otchłanie!
Co otaczacie tajemnicą życie,
Próżno was ciągle pytamy: milczycie!—
Głuche na nasze prośby i wołanie.

Próżna ciekawość, próżne serca biciel
Nikt odpowiedzi od was nie dostanie....
Chyba nam echo odrzuci pytanie,
Przywórczy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie.

I nieraz, biedni, za prawdę bierzemy
Ten głuchy oddźwięk naszej wyobraźni,
Sądząc, że słyszym tajny głos natury....

Lecz wszechświat stoi tak, jak przedtem: niemy...
I otchłań z nami milczeniem się drażni—
Aż nas w swój odmet zagarnie ponury.

El-y.

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera,

(Dalszy ciąg).

W rozwinięciu tych projektów, Władysław był wymownym i spostrzegawczym. Młoda, żywa dziewczyna musiała przyznać, że przy dobrej woli może jej zbraknąć czasu i pieniędzy na urzeczywistnienie tych wszystkich planów uśmiechających się idealnymi rezultatami.

Spoważniała, zaprzestała mówić o wpływie na kraj i sejm, na politykę i literaturę. Stała się ostrożniejszą w wyrażeniach i mniej mówiącą.

Widziała, a raczej odgadywała, kobiecym instynktem, jaki wpływ wywierał na Władysława wdzięk Jadwigi, jej słodycz, pewna nieśmiałość i lekiwość. Nie wiedząc o tem, zaczęła ją mimowoli naśladować. Żywość jej zlagodniała; w dyskusji nie używała ostrego dowcipu, energia jej topniała. Jeżdżąc konno, stała się ostrożną. Robiła to, nie w chęci podobania się Władysławowi, lecz, że jej tak radził instynkt, który zwykle dobre rady daje i rzadko kiedy zawodzi.

Oprócz ojca nikt nie zwracał uwagi na te zmiany. Władysław oddawał się z pewną namietnością badaniom zmian, usposobień i wyobrażeń Jadwigi. Dziewczyna pozwalała na to, poddając się z pewną rozkoszą rozlicznym próbom, wpadając umyślnie w zastawione sidła — jakgdyby chciała mówić: — „Nie chcę mieć tajemnic przed tobą, nie

chcę być inną w twoich oczach, a może kiedyś uwierzysz w moją szczerłość.

Nauczony doświadczeniem, młody człowiek bał się wierzyć, chociaż tak pragnął; bał się zaufać, bał się sztyderstwa pięknej dziewczyny, oburzenia jej matki, uśmiechu p. Edwarda.

Jadwiga czekała. W oczekiwaniu, które jej się zdawało bardzo długiem, traciła nadzieję; posmutniała; cera jej stawała się bardziej bladą i przeźroczystą, a zato oczy nabierały blasku.

XVIII.

Droga Fanny!

„Nie jest to człowiek inicjatywy, szerokich poglądów potężnej ambicji i pragnień. Nie jest to człowiek przerastający o głowę tłumu — nie!... Jest to zaledwie przystojny, bardzo przystojny, młodzieniec — dobrego układu, przyjemny w gawędce, czasami dowcipny, zawsze zręczny — dobrze gra na fortepianie, a niezawodnie i ładnie tańczy. — Myśli jego, jak dymy, nie ulatują ponad dachy chat, a pragnienia poza wioski granice. Nie o takim marzyłam, wiesz dobrze, a mimo to, smutno mi gdy go nie widzę — rumienię się, gdy na mnie spojrzysz, ręka mi drży, gdy on swoje do mnie wyciąga... I gorzej jeszcze — w jego towarzystwie staję się nieśmiałą — ja, posuwająca zuchwałstwo do możliwych granic *shoking*. Pragnienia moje i ambicje zwięzają się i kurczą dotyla, że niezadługo nie będą miały odwagi wychylić się poza granice dziedzińca. Spoważniałam, jak nasza pastorowa, Sara Smith. Nie ma już we mnie tego ognia w dyskusji, którym się zachwyciłam — ani wybuchów namietności, które cię w zdumienie wprowadzały... I to wszystko dla niego!

„Masz prawo zapytać się: czy on tego odemnie wymaga, czy mnie prosił o to, czy on mnie kocha?

„Czy on mnie kocha?

„W jednym z listów moich pisałam ci o mej

siostrze stryjecznej, którą wyrwałam ze szponów ograniczonego brutalą. Pokochałam ją, zaczęłyśmy się rozumieć — pracować razem.

„Władysław od pierwszej chwili spotkania się w moim domu z Jadwigą, ochłodził względem mnie i sam się zmienił do niepoznania.

„Dziewczyna ta wywiera na niego jakiś czar. Jest milczący, zamysłony, nawet roztargniony. Usposobienie sentymentalne, charakter miękki i słaby, pociągają go — niebieskie jej oczy, zdaje mi się, dokonywają reszty.

Schadzki ich odbywają się w moim domu, pod moją osłoną. Patrzę na to, milczę — nie mam prawa wystąpić, nie śmiem się nawet zapytać. Jadwiga go zwycięża słabością. Być może, że ja imponuję mu i odpycham go energią.

„Oto, na jaką mnie rolę skazał fatalizm, w jak dziwne sidła uwikłał! Muszę patrzeć, milczeć; nie wolno mi zdradzić się choćby najlżejszym westchnieniem, mrugnięciem oka. Cierpię, lecz panuję nad sobą i uśmiecham się, choć nieraz mam łzy w oczach — gniewu i żalu.

„Lecz dlaczego Jadwiga teraz dopiero ciągnie go ku sobie i zdaje się go szukać?...

„Tajemnicę tę, czy zagadkę, muszę rozwiązać. Nie znoszę fałszywych stanowisk, niepewnego jutra. Zaczynam nienawidzić samej siebie. Przy najmniej ty, moja droga, kochaj mnie i pisz.

Stanisława.

Jesień kładła czerwień i złoto na liście drzew, malując pejzaże natury nowymi barwami. Szary i zamglony koloryt dodawał uroku i tajemniczości obrazom. Słońce rzucało blade promienie przez szczeliny chmur, podobnych do stada rozpięchłych ptaków.

Na wzgórzu, u stóp Wisły, niedaleko dworu, stała młoda dziewczyna, poważna, uroczysta, zapatrzona w przestrzeń, milcząca. Towarzyszył jej młodzieniec. Nie śmiał na nią spojrzeć, również nie miał ochoty zachwycić się pięknosciami jesiennych widoków, pilnie się wpatrując w fale rzeki, kołysane podmuchami wiatru.

— Pan kochasz Jadwigę?

Zdawało mu się, że to powiedziała fala rzeki, że wiatr zasumiał temi wyrazami że liście drzew wyszeptują jego tajemnicę. Nie śmiał podnieść oczu, nie śmiał się pytać, nie miał odwagi odpowiedzieć. Usta mu drżały nerwowo, bladł i milczał.

Młoda dziewczyna wpatrywała się w niego, jak w ofiarę, dla której czuje się litość.

— Nie odpowiadasz mi pan. Sądzisz, że nie zasługuję na odpowiedź, za to, że się ośmielałam wdziierać w jego tajemnicę. Tak — jest to dziko z mej strony, lecz... nie mogła dokończyć. Piersi jej wznosiły się, płuca ciężko pracowały, oddech stawał się przyspieszonym.

— Nie jest to dziko — odpowiedział, — masz pani wszelkie prawo zadać mi to pytanie i czuję się w obowiązku odpowiedzieć; racz pani tylko skończyć zaczęte zadanie.

— Ponieważ schadzki odbywają się w naszym domu... a ja — dodała ciszej po chwili — kocham Jadzię.

Władysław ujął za rękę dziewczynę — nie bro nią się.

— Pozwolisz mi pani być szczerym i mówić jak z siostrą i przyjaciółką, powiedzieć wszystko, prosić o radę, a nawet o wyrok?...

— Mam być sędzią?... — szepnęła.

— Proszę o to, gdyż wierzę, że wyrok będzie sprawiedliwym a rada serdeczną.

— Słucham.

Władysław zarumienił się, przysłonił oczy rękami.

— Dwa lata mijają, gdy poznałam pannę Jadwigę. Nie pamiętam kiedy sympatya, jaką miałam dla niej, zmieniła się w uczucie żywsze, którego sam przed sobą określić nie umiałem. Zrodziła się we mnie nieprzeparta siła popychająca mnie do Żurawna. Nie byłem w stanie oprzeć się jej. Westchnął i mówił dalej wzruszony.

— Wzrok mego uczucia zatrzymał, a może złamał, swemi wizytami poręcznik, a raczej przyjęcie, jakiego doznawał od panny Jadwigi. Wyjechałem, aby zerwać stosunki. I udało mi się wybornie. Po powrocie nie widziałem panny Jadwigi, aż do-

piero w domu pani, — dowiadując się przytem o zerwaniu z poręcznikiem.

Dziś jest ona inna — niepodobna do tej, jaką była, gdy odjeżdżał. Niezawodnie to wpływ pani, jej odwaga w wypowiedaniu prawdy głośno, jej szlachetna energia...

— Dziękuję panu, — odpowiedziała Stanisława, — lecz kwestye te nie należą do rzeczy.

— Przeciwnie: — są one najważniejsze, gdyż na ich podstawie ośmielałam się zapytać: czy wpływ pani na pannę Jadwigę jest stanowczym; czy obecne usposobienie jej jest tylko przelotnym kaprysem?

— Wymagasz pan rzeczy niemożliwych, chcesz, abym decydowała o przyszłości drugich.

— A jednak opinia pani, jej przeczcucia będą dla mnie stanowcze — zawyrokuje o moim losie.

Młoda dziewczyna zadrżała, myśli jej jak błyskawice przelatywały. Kochała go; przyszłość jej zależała od jednego wyrazu... Walczyła; nagle zmiana Jadwigi zdawała jej się nienaturalną, raczej był to wpływ ambicji niż przekonania. Obciąła to powiedzieć, a jednak słowa zamarły jej na ustach. Odwróciła się, aby nie dostrzedz walki. Po chwili uśmiechnęła się, mówiąc:

— Dziwne to, składać los swój w obce ręce.

— A jednak składamy go — odpowiedział cicho.

— Kocham Jadzię i mogę być stroną.

— Mam nadzieję, że i dla mnie masz pani nieco sympatii.

— Sądzę, że Jadzia pozostanie taką, jaką jest — szepnęła, nie mogąc mówić ze wzruszenia głośno.

Zakochani, są ślepi i dlatego często bezwiednie męczą swoje ofiary. Władysław domyslał się sympatii szlachetnej dziewczyny, lecz nie zajmował się tą sprawą, nie myślał o tem, nie miał czasu. Nareszcie przyzwyczaił się nie zwracać uwagi, wypracował w sobie niewiarę, aby uczucie dziewczyny było prawdziwe i głębokie i nią uciszył sumienie. Zakochani są egoistami.

W imię tego egoizmu Władysław nie zrozumiał przeizzonego jej głosu i nie odczuł jego drżenia; ujął ją za rękę i pocałował.

— Dziękuję pani — odezwał się serdecznie — wlewasz we mnie odwagę i nie wątpię, że wezmiesz sprawę moję w opiekę.

Uczucie, jakie mam dla panny Jadwigi, zawojsowało mnie, jestem jego niewolnikiem. Nie mam wobec niego swej woli, nie mam sił do walki; a jednak widzę prawie nieprzewidywane przeszkody i stoję wobec nich z załamanymi rękami.

(Dokończenie nastąpi)

JAROSŁAW VRCHLICKI

I JEGO NAJNOWSZY ZBIOREK POEZJI

„CO ŻYCIE DAŁO“

skreślił

Zenon Przesmycki.

(Dokończenie)

Było dwoje dzieci; od zabaw, igraszek, od zabawionych swoich rówieśników, coś ich ciągnęło w samotne ustronie, gdzie mur cmentarny tworzył kątek cichy. Topól tam rosła, pod nią stał krzyż czarny. On na kolana jej głowę gorącą kładł i szczęśliwy patrzył w jej oczęta, jej liczko, usta; we włosy zaplatał jej powój, a z góry kwitnąca jabłoń białe sypała im puchy... Cudne to były chwile! Powietrze pełne mgieł i pyłów złotych, jasna, śmiejąca się łąk zieleni, a tam chłód miły, zawsze wonna trawa; nad nimi miasto we mgły upowite; na widnokręgu gór faliste rysy, a w górze siwy klasztor, jak na straży, czasami srebrnym odzywał się dzwonkiem. Tu godzinami bawili się w piasku; wszystko bawiło ich: motyl na krzaku, ślimak, co z trawy na ścieżkę wypelznął; niedbali,

że tam za nimi ciągną się mogli szeregi; w głowach im wstawały zamki zaklęte, wróżki i księżniczki — i wszystko żyło, pisało przed nimi. O piękne chwile! o przelotna złudo! Potem przyszło życie, jego marzenia i zawody. Jak ptak spłoszony ona mu zniknęła, a z nią sny dawne, jak barwne motyle. Już jej nie widział, nie widział, jak w trumnę ją kładli, jak wianek róż białych na głowę włożyli, a powój w złociste wpłatali war-kocze. Jego los rzucił w dziki odmet świata, rwał go jak listek, który spadnie z brzozy, aż wreszcie, rzucił go w rodzinne strony. Jak smutno! wszyscy tu obecni, nikt nie zna, nikt nie pamięta już jego imienia. Wszystko czas porwał w swoje siepie szpony, wszystko zmienione, tylko cmentarz stary, jak niegdyś szepece: — Dosyć, zaśnij już! A wiatr wieści powiada im dziwne; ptak śpiewa, szumią starych lip gałęzie. Idzie wśród grobów, ku kwiatom się chyli i czuje, jak dawne wspomnienie na białych skrzydłach w powietrzu modrem się unosi. I zatrzymuje się, siada na kamień — tu nie tak było. Biada, próżno szuka: gdzie mur cmentarny tworzył kątek cichy, gdzie stała topól, a pod nią krzyż czarny; mur zniknął teraz, przed nim cmentarz nowy; gdzie była młodość jego, widzi tylko groby i groby; gdzie radość, tam ból i żal. Smutno i ciężko! A jednak ta miłość dziecięca, jak zorza w jego życiu świeci i błogo mu w sercu, kiedy o niej wspomni.

Takiem samem głębokiem uczuciem, takim bólem serdecznym, taką tęsknotą za szczęsną przeszłością, a zarazem ufnością, brzmia: *List z cmentarza, Fragment i Smutny wieczór*. Poeta, który zespała się zupełnie ze swemi utworami, wydarł tu kilka kartek ze smutnych i ciężkich chwil życia własnego. Jak każdy prawie z genialnych mężów Narodu Czeskiego, ciężkie miał życie, musiał łamać się z wieloma trudnościami i zawadami, zanim potęgą swego talentu, zabłysł jak słońce na Parnassie Czeskim. „Ty nie wiesz — powiada w *Idylli z cmentarza* — ile w mej myśli cudnych marzeń błysło! ile nad głową dzikich burz prze-grzmiało, ile żnoży wyrzył zmarszczek na mem czo-le, ile zapasów, bojów przejść musiałem, co gro-mów padło na me blade skronie, zanim je zwieńczył pierwszy liść wawrzynu! Za to dziś nie już stracić nie zdoła laurowego wienca z królewskiego czoła olbrzyma dzisiejszej Poezyi Czeskiej i słowiańskiej.

Dział piąty — zatytułowany *Stracone kroki* — przedstawia szereg licznych wierszy lirycznych, różnych form, treścią i nastrojem, a przecież zawsze pełnych głębokiej myśli lub serdecznego uczucia.

We wstępnym wierszu — *Do moich marzeń* — poeta obawia się, by go nie opuściły te jego sny złote na wieki. Bo i któż wtedy wyzłoci mu jego izbę biedną? Czy uśmiechy co rano witać go będą? Kto ukolysze go, jak w dni dzieciństwa, jeśli nie lot ich i skrzydła anielskie? To też błaga, aby z nim zostały: „Niechaj już nie spocznę na łonie kobiety, niechaj przez życie idę opuszczony, niech wieniec moich kwiatów burza porwie, tylko zostańcie wy, sny moje złote!“ Każda rzecz budzi w poecie jakąś myśl głębszą, jakieś odpowiednie porównanie, a tę myśl, to porównanie, odziewa on natychmiast w przepyszną formę, ożywia potężnem technieniem poezji i tworzy cudny obrazek. Tak powstały wszystkie prawie ustępy w tym dziale. Weźmy, na przykład, wiersz: *Hic sunt leones*. Na starych mapach zazwyczaj pisa-no w rogach, gdzie próżne miejsce: „Tu lwy żyją“. Poeta myślał często o naiwności dawnych ludzi i nagle błysk jasny przez głowę mu przebiegł: „czy serce ludzkie nie jest, jak ta mapa?“ I w niem są miejsca nieznanne i dzikie, gdzie miłość nie do-jdzie, gdzie niknie współczucie i lwy tam straszne żyją, jak w pustyni. Chaos potworów dzikich: zawiś bije skrzydły, jak harpia, wściekłość bu-rzy się, jak tygrys, nienawiść, jak wilk, pokryta czarnych myśli rojem, wyszczerza kły swe ostre, krwią zbroczone. Kąt straszny, groźny, jak Dan-tejski okrąg najgłębszy, kędy wieczna ciemnia i lo-dy. Ja drzę, gdy w głębi serca nagle zagrzmi tych lwów ryk straszny! — Lecz cicho! śpią dotąd, uśmiech na obliczu, w oku lśni radość, a dusza jak dziecko we śnie spokojnie i równo oddycha. — Mo-że nazawsze usną — tylko cicho, cicho!...

Opadające z drzew białe listki kwiatów naprowadzają poetę na piękne porównanie: — „Co kwiatów do wody naspada, nim całe przekwitnie drzewo, co wspomnień się tu nazbiera przez długi ciąg żywota! — Gdy kwiaty opadną, zostanie na drzewie owoc dojrzwały: wspomnienia gdy wiatr rozwieje — zostanie smutek i boleść. — A kwiaty, wspomnienia w głębi straszną padają jak błyskawice, za kwiaty miesiąc słu promień srebrny, za życiem brzmi ledwo tęsknota!”

I tak dalej, w każdym ustępie porusza poeta rozmaite zagadnienia psychologiczne i społeczne. To zastanawia się, jak — „różne duchy jedno poimucie”; jak — „przez morza, góry, lasy, pustynie, duch jeden z drugim w harmonii spływać”; to z ciągłych metamorfoz człowieka wnioskuje, że on jest polem, przeznaczenie — pługiem; to w tęsknocie za przeszłością dochodzi do myśli, że „całe życie w słońcach, ludziach, światach tylko odblaskiem jest dawnej przeszłości”, że wspomnienie o przeszłości, tak, jak spojrzenie na, zasuszone w księżce, a przecież jeszcze wonne, kwiatki, odmładza nas i czyni znowu dziećmi. W lekkim, nieco humorystycznym, wierszyku: „Causerie wiosenna”, poeta daje w dość swawolnym tonie rady swoim współbraciom po lirze: Gdy wiosna wszystko rozbudzi, rozweseli, gdy wążka musnie wód powierzchnią, skowronek pieśń zanuci srebrną; gdy wszystko płasza, gdy świat cały jest pieśnią, cza-rem, śmiechem, dniem — ty, co się zowiesz duchów królem, wstań z ciężkich dum swych, o, poeto, i nie bądź śmieszny ze swym bólem — wróblom i słowikowi!

Co zagadki trapiące ducha?
Zna jedno tylko prawo świat.
Widzisz tę gałąź? była sucha,
A dzisiaj — patrzaj — jeden kwiat!
Do tej piękności ziemi, nieba,
Przed którą stoisz, zimny gość,
Miłości tylko ci potrzeba —
A tej w przyrodzie po dziś dość...

„Pieśń twa niech będzie pieśnią ptaka”. „Patrzeć na wszystko prosto, jak dziecko, człowiekiem być — to wystarczy!” Maxymy, jakkolwiek rzucane lekko, jednak treścią bardzo poważne. — W innym wierszu *Allegorya*, znajdujemy pięknie uobrazowaną radę poecie, by nie dał się porwać i i upoić formie, lecz by główną uwagę zwracał na myśl, na treść, bo „forma to korona, gdzie błyszczą dyamenty, lecz myśl w twarzy nosi bóstwa odblask święty”.

Przedostatni dział — *Wspomnienia z podróży* — zawiera przeszliczne ustępy, powstałe w duchu poety, pod wpływem wrażeń wywołanych tak dawniejszą podróżą do Włoch, jak i ostatnią 1882 r. do Hollandyi, Belgii i Paryża. I tu — a może tu więcej, niż gdzieindziej — okazuje się Vrchlicki, prócz zwykłych cech swego potężnego geniuszu, głębokim myślicielem. Dość przeczytać tutaj: *Zapomnienie, Eddż znikająca, Wieczór w Paryżu, Notre Dame i La Morgue, Pod latarnią Dyogenesa w St. Cloud*, aby przekonać się, że u Vrchlickiego w każdym obrazie, tak potężnie i ludzaco namalowanym, że zdaje się rzeczywistością, kryje się głęboka myśl filozoficzna; że wskutek dziwnego, dla nas, zwykłych śmiertelników, niepojętego prawie, kojarzenia się pojęć, najbliższe czasem zdarzenie może wywołać u poety cały szereg głębokich myśli i uwag. Paryż ze swymi wszystkimi galeryami: ze swojemi muzeami i innemi osobliwościami, z barwnym, ruchliwym życiem, z jego uderzającymi kontrastami, ze wspaniałą przeszłością i dość komedyancką teraźniejszością, dawał poecie niewyczerpaną prawie masę materiału — i korzystał też z niego Vrchlicki. Nieporównane są jego, zlamandzką drobiazgowością i wyrazistością malowane, *Szkic z przedmieścia*, oraz *Wieczór w Paryżu*. Pyszenie uchwycona jest handlarska strona malarstwa, na którą poeta patrzy z głębokim oburzeniem i którą w należnym przedstawia świetle w wierszu: *Do kopistów w Luwrze*. Co zaś do kontrastów, to najlepszym przykładem będzie wiersz krótki, lecz który oddać-by można za ty-

siące innych: *Notre Dame i La Morgue*. Przytoczę go tu w całości:

Wielka budowa — aż ku gwiazdom tryska,
W niej sztuka z wiarą w cuda się kojarza;
Poza nią strzecha posępna i niska —
Tam samobójcy leżą z bladą twarzą.

Dwa to zwierciadła: w obu człowiek cały,
Jak cierpiał, bolał, wznosił się i padał;
Ten, co tu leży, nagi, trupio-biały,
I ten, co z głazów epopeję składał.

Przechodzę. — Wkoło życie wre, pulsuje,
I myślę, Bóg, co mówił zpośród gromu
I co w tej pysznej świątyni króluje,
Więcej do pracy miałby w tamtym domu.

Dział ten jest dla nas szczególnie interesującym. Wiadomo, że, będąc w Paryżu, Vrchlicki nader serdecznie i z wielkim zapalem przyjmowany był przez tamtejszą kolonię polską, co, oczywiście, wzruszyło go i na jego wrażliwej naturze głębsze zostawiło wrażenie. Ślady tego dają się widzieć w postaci kilku wierszy („Pod latarnią Dyogenesa w St. Cloud”, „Bohdanowi Zaleskiemu”, „Polskie groby na cmentarzu Montmartre” i „Do Polaków w Paryżu”), pełnych gorącą, braterską ku nam sympatią i współczuciem, oraz ufnością, że przyszłość wynagrodzi wszystkie kłeski i cierpienia. Przypyszne są to ustępy, a dla nas szczególnie ciekawe. Niemogąc ich tu przytoczyć, z powodów niezależnych odemnie, odsyłam ciekawych czytelników do oryginału.

Zakończenie tej grupy utworów poetycznych stanowi dwanaście dwuwierszy, dosadnie a dziwnie trafnie charakteryzujących różne dzieła sztuki, spotykane przez Vrchlickiego w jego podróżach.

Koroną całego zbioru *Co życie dało jest ostatni dział*, zawierający dwie idylle: *Szumawską i Apenińską*, odkrywające nową, nieznana dotąd stronę talentu Vrchlickiego. Różne zupełnie, tak treścią, jak i wykonaniem, obie są równie mistrzowskie pod względem założenia i realistycznego rysunku.

Idylla „Szumawska” przedstawia tragiczny przebieg tułaczego żywota robotnika z Szumawy, który, porzuciwszy żonę, udał się na zarobek do Tyrolu. Tam, pod wpływem chwilowego uniesienia, związał się z drugą kobietą, lecz później, dręczony wyrzutami sumienia, chciał powrócić do kraju, a nie wiedział, co począć z tą nową towarzyszką; wracając wszakże znalazł na cmentarzu grób swej pierwszej żony.

I tak wciąż — we dnie pracował, a w nocy
Sny miewał, widział zapłakane oczy
Swey żony, słyszał w kolebce płacz dziecka,
Które opuścił, nim ten świat ujrzało.
Widział też miłe góry swej ojczyzny,
Tak niskie przy tych tutejszych olbrzymach,
Lecz wiecznie świeże i wiecznie zielone,
Widział mgieł taniec po kłodach spróchniałych,
Słyszał dzwoneczków brzęki metaliczne,
Szum lasów, jezior, tajemnicze głosy,
A gdy się zbudził, wilgotne miał oczy
I ciężką głowę....

Lub cudny opis zachodu słońca:

..... wkoło blask zachodu,
Tkał po zaroślach swoje krwawe cuda,
Purpurą barwił każdą gałąź nagą,
Kropelki w trawie zamieniał w rubiny,
W igły sosnowe sypał iskier snopy,
I wokół skroni gór poważnych gorzał,
Niby dyadem; cisza, listek nie drgnął,
Tylko czasami zabrzmiął płacz tych dwojga,
I głośnie łkania z ciężkością tłumione.

Idylla „Apenińska” przedstawia opowieść z ciękiego, spokojnego życia biednego proboszcza górskiej wioseczki, który przez miłość dla biednych sióstr kalek, poświęcił całą przyszłość swoją, całą karierę świecką, miłość swą nawet — i zagrzebawszy się w grobach, żył tylko dla nich.

Ztąd przytoczymy piękny i charakterystyczny opis ruin starożytnego zamku włoskiego:

Zamek był wielka, potężna budowa
Jeszcze z epoki feudalnej, potem
Więzienia stanu tu były, a dzisiaj
Pustka straszliwa wyglądała zewsząd,
Kończąca to, co zaczęło więzienie.
Przebiegłszy wszystkie zamku kurtytarze,
Zdobne zblakłemi już dzisiaj freskami,
Zaszliśmy w końcu do lochów więziennych.
Wyrwano tutaj belki, przepierzenia,
Drzwi wszystkie, ramy okienne, podłogi —
I tem strasniejszą ztąd pustką powiało.
Cisza dokoła, lecz ściany mówiły,
Od dołu aż do stropu popisane
I pokreślone dziwnymi znakami,
I znaczna większość tych run nieczytelnych
Splatała się tu z całemi napisy —
Miejscami wierszem płynnym, potoczystym,
A znów gdzieindziej szorstką, dziką prozą.
Tutaj czuć smutek, ówdzie się przebija
Rozpacz szalona, a tam znów nadzieja,
Że kiedyś w końcu Włochy zjednoczone
Wolnością cieszyć się będą...

Tam się krzywili różni ministrowie
W sąsiedztwie synów przebiegłych Loyoli,
Tutaj Italia sromotnie spętana,
Jak Leopardi przedstawia w swym hymnie,
Jęczy na ziemi, a pod nią wyjątek:
„Ty jeszcze będziesz wolna i potężna!”
Tam tylko szereg imion tych, co padli
Za świętą sprawę, lub zmarli w więzieniach,
Imiona godne wieńca z gwiazd niebieskich,
Godne, by matki dawały je dzieciom,
Miał imion świętych, by swój kraj kochały.
Tam tylko prosty wykrzyknik: „Mentana!”
Lub tkliwe więźniów westchnienia do żony,
Do dzieci, krewnych; gdzieindziej szyderstwo.
Śmiech rozpaczliwy i groty śmiertelne
Strasznej satyry, której bicz żelazny
Podniósł nad głową tyranów, papieży,
Już niegdyś wielki ojciec Alighieri.
A do więzienia, jakby przez ironię,
Pięknej Italii najpiękniejszy kątek
Swym wiecznie jasnym zaglądał błękitem;
Łono Apenin tu się otwierało —
Raj pełen świeżej, górskiej wspaniałości —
Stopniami coraz ku niebu się wznosząc,
Aż gdzie Cimone zamknął perspektywę.

Obie powyższe idylle dowodzą, że Vrchlicki nie wyczerpał swej twórczości na polu poezji lirycznej, lecz że coraz nowe otwiera sobie drogi.

Zbiorek cały zamyka epilog, w duchu nieco polemicznym, lecz pomimo to, pełny głębokiej refleksji i szczytnych myśli:

..... Oczyszczony, odmieniony laty,
Wróci znowu poeta natchnieniem bogaty,
I wielki wstąpi w dawne dziedzictwo swej sławy.

Blask, który teraz blade czoło jego złoci,
Który powszedniość życia, małe namiętności,
Kryją mroku oponą tak często — jasności
Aureolą zatopi olbrzymią, gorącą
Oczne doły i czaszkę nagą i świecącą.
Nie człowiekiem — poetą już będzie dla świata!
Co cierpiał: wąż zawiści, samolubstwo brata,

Wszystko zniknie, wichura po świecie rozruci
Proch jego nieprzyjaciół—ale on powróci!

Ostatnia walka gladyatorów.

(z drzeworytem).

W czterechsetnym roku ery chrześcijańskiej, przybył do Rzymu pielgrzym, nieznany nikomu. Mówiono, że przybywał ze Wschodu, z Syrii, i rysy jego potwierdzały to mniemanie: czarne jego źrenice miały to długie, głębokie spojrzenie ludzi, których wzrok przebijał tajemnice pustyni. Natura daje takie oczy człowiekowi, gazelom i lwom pustyni, i takimi oczyma patrzył pielgrzym, lecz oblicze jego wyglądało zpod kaptura mnicha spokojnie i łagodnie, a broda jego była siwa. Mówiono o nim, że był przedtem pustelnikiem, bo nie mieszał się między ludzi i widywano go tylko klęczącego na progu świątyni, i wlepiającego wzrok w Ukrzyżowanego Chrystusa. Ludzie poczęli go znać i mówić o nim, że jest święty; w tłumie, gdy nacisnęła go cizba, robiono mu miejsce, rozstępując się, jak przed urzędnikiem cesarskim. Aż nadszedł czas wielkich igrzysk w Kolizeum. Był to cyrk przeogromny, mogący pomieścić wygodnie 87,000 ludzi; według podań chrześcijańskich plan jego miał narysować budowniczy Gaudencyusz, Chrześcijanin i męczennik, a budowały go tysiące nieszczęśliwych niewolników, których Tytus po zbурzeniu Jeruzolimy przygnał z Judei. Łamali marmury i dźwigali je na barkach, śpiewając pieśni swojej ojczyzny, żałosne Psalmi Dawidowe, ale poganiał ich bicz dozorców i nie mieli czasu obracać stęsknionych oczów w stronę krainy rodzinnej. Księgi chrześcijańskie zostały opisy bolesne, jak z nędzy, wysiłku i tęsknoty marli setkami, i dla miłosierdzia odbieranego od Chrześcijan przyjmowali Wiarę Chrystusową. Łzy i gorący znój nieszczęśliwych uprawiały grunt pod Kolizeum, na którego arenie w czasie wielkich igrzysk inauguracyjnych pięć tysięcy dzikich zwierząt: pięć tysięcy lwów, hyen, tygrysów Azji i Afryki pożarło się, lub zostało wybite w walce z człowiekiem, który dla uciechy Ludu Rzymskiego był im oddany na pastwę.

Dziś dopiero, za naszych już czasów, odkryto w sklepionych podziemiach Kolizeum kości owych bestyi krwiożerczych, sprawiające mnóstwem swoim widok przerażający.

Gdy tłumy ludu poczęły płynąć do cyrku, i siwobrody mnich poszedł tam za nimi. On, którego nie widziano nigdy na żadnych uroczystościach i zabawach rzymskich, który bywał tylko w kościołach i na processjach pobożnych,—on, poszedł patrzeć na igrzyska krwawe, a snadź chciał widzieć dobrze, bo zajął miejsce bardzo blizkie areny, na której teraz człowiek miał walczyć z człowiekiem. Najpierw widział on cisnące się tłumy nawet kobiet i dzieci, tłumy łakome widowiska ran, krwi i śmierci okrutnej; dalej widział wielkich urzędników, senatorów i konsulów Rzymu, nawet Westalki w łożu z purpurowymi opo-
nami, i Cezara, którego gladyatorzy witali straszliwym pozdrowieniem: „Ave Caesar! Morituri te salutant!...”. Widowisko zaczynało się o wczesnej godzinie dnia i ciągnęło się zwykle do nocy, i widze zmęczeni dziką uciechą, upojeni gorącą parą krwi, wylewali się z przesiąkniętego nią gmachu w cisze i spokój nocnej natury, pod błękit włoskiego nieba, usiany gwiazdami, jak fale wzbурzonego morza. Ale dziś igrzyska miały się zakończyć o innym czasie i w sposób inny, inaczej wstrząsający nerwami żadnego wzruszeń tłumy. Walka rozpoczęła się pojedynkiem dwóch zapasników. Co to byli za ludzie? Czy sprzedani za długi przez wierzycieli swoich, lub sprzedający się sami z nędzy, lub zezwierzęcenia? Może jednym był obrzydzi, ponury Teuton z Hercyńskiego Lasu,—drugim błękitnooki Słowianin od brzegów Dunaju?—niewiadamo.

W Rawennie istniała szkoła gladyatorów, w której wychowywano do tego ohydneho rzemiosła przeważnie młódz jeńców wojennych i czasem były to dzieci książęce, królewskie, jak syn nieszczęśliwej Teutunki, Tusneldy. Para gladyatorów walczących w pojedynku, zwała się w języku cyrkowym „ordinarii“, lecz każdy z nich miał osobne nazwisko swoje, od oręża, którym walczył. A oręż ten był dobrany umiejętnie, aby czynił walkę zajmującą. Jeden z walczących był uzbrojony dobrze: miał miecz, hełm, tarczę i ten zwał się „secutor“—napastujący, bo on rozpoczął walkę. Drugi, który przed nim umykał, miał za całą broń: długi trójzęb, „fuscina“ i siatkę „rete“, służącą mu do tego, aby ją zręcznie na głowę na pastnika zarzucił, splątał go w niej i przeszył mu pierś zębami widel swych strasznych. Ten zwał się od sieci swojej „retiarius“, ten musiał być szybki, zręczny i nieustraszony, a odkryty był całkiem na rządy miecza przeciwnika. Mógł przecie bronić przystępu do siebie trójzębem, mógł i powinien był znużyć tamtego, którego zbroja była ciężką, uciekaniem przedłużonem. Były to zapasy ciekawe—nieprawdaz? i tłum też patrzył z naprężonem zajęciem, aż do chwili, gdy jeden z zapasników znajdował się już pod grozą śmierci. Wtedy lud rzymski miał prawo łaski: mógł nie pozwolić na raz śmiertelny i głos jego rozdzielał wtedy rozjuszonych zapasników—rozjuszonych choćby występując do walki, mieli obaj smutne tylko spojrzenie dwóch, zarówno nieszczęśliwych, nędzarzy. Ale walka rozgrzewa, każe wrzeć krwi i wywołuje z głębi piersi człowieka namiętności zwierza. Obrona życia rodzi nienawistne pragnienie mordowania tego, który na nie godzi, ale gladyator był sługą Ludu Rzymskiego i musiał mu być posłusznym. Prawo łaski należało również, prócz Cezara, do świętych dziewic Rzymu, do Westalek, przecie obecnie nikt go użyć nie chciał, choć oto sekutor już powalony, już złapany w sieć śmierci i chwila jeszcze, a straszne żelazo przeszyje, przebijie go nawylot. I setki razy tak się działo; ten lud, który wołał na Cezarów swoich: „Panem et circenses!“ lubił patrzeć na ostatni podryg ofiary, słyszeć jęki konania. W 306 roku Konstantyn wyprawił ludowi temu pyszną uroczystość: dał mu widzieć łowy Franków. Kilkaset wygłodniałych zwierząt dzikich wypuszczono na tłum Franków, uzbrojonych jedynie w noże. Stała się też rzecz przerażająca myśl ludzką. Lwy, tygrysy, lamparty tak się objadły człowiekiem, tak się opily krwi jego, że już nie chciały uctować dłużej. Miały dość; pokładły się, aby trawić spokojnie, ale Rzymianie byli pożądlivszej natury i nie chcieli poprzestać na tem:—nęciła ich uciecha dłuższa, tylko zapragnęli urozmaicić ją. Tym, którzy pozostali przy życiu, dano miecze i kazano walczyć wzajem ze sobą—im, synom jednej ziemi, towarzyszącej jednej niedoli. Ale nie uraczyły się oczy rzymskie widokiem takim: nieszczęśliwi nie chcieli walczyć o życie. Podzielili się na dwa szeregi, każdy z nich nastawił miecze i padając wzajemnie na ich ostrza, wszyscy śmierć wzięli!

Jak byłby teraz konał sekutor, jak retiarius byłby mu piersi przeszywał? nie zobaczyli też i dziś wnuki Brutusów i Scypionów: święty starzec przeskoczył nagle przymurek, oddzielający arenę od proscenium i rzucił się na dzikiego zbroja, którego muskularne ręce wyprężyły się już do ciosu. Pochwycił trójzęb i zatrzymał go.

Teraz nastąpiło szamotanie się między temi dwoma i tę chwilę najwyższej dramatyczności uchwycił do obrazu swego malarz historyczny, Józef Stallaert, professor bruxelskiej Akademii Sztuk Pięknych, a którą przedstawia drzeworyt na str. 381. Obraz oddaje postacie gladyatorów ze ścisłością historyczną, lecz patrzący zadaje sobie z trwogą pytanie straszne: co przecie stanie się dalej, kto tu będzie ofiarą, czy ten powalony o ziemię nieszczęśliwiec, czy starzec święty, który śmiał wykrzyknąć wobec łaknącego mordów tłumy przykazanie Boże, dane ludziom jego wiary:

—Nie będziesz zabijał bliźniego twego!...—Znać siła cudowna wstąpiła w pielgrzyma, bo retiarius nie może się uwolnić od niego, a i cyrk krzyczy daremnie: — Na bok! na bok starcze! — On nie ustępuje, lecz i Lud Rzymski nie chce darować rozkoszy swojej, więc tłuszcza ryczy: — Jego na

śmierć!—i prefekt Rzymu daje przyzwolenie. Starzec padł zabity od mieczy gladyatorów, którzy wyskoczyli ku niemu na scenę, ale krew jego nie została rozlaną daremnie—krew ta uczyniła cud... Sumienia ludzkie obudziły się i odezwały; choć po wywleczeniu ciała na tyły cyrku, walka gladyatorów dokonała się, była to walka ostatnia. Rzym chrześcijański, już był, przeląkł się też swego czynu niemilosierdzia—przeląkł się że zamordował świętego, i nikt nie śmiał wskrzesić igrzysk strasznych na miejscu, które uświęciła ta ofiara, i w dwa lata potem, 402 roku, cesarz Honoriusz zakazał walki gladyatorów.

Ciało pielgrzyma, które zabrali z cyrku kapłani, pochowanym zostało w pobliskim kościele św. Klemensa; gdy przecie nastąpił zakaz cesarski, ruszono z grobu jego szczątki i w tryumfie przeniesiono przez arenę Kolizeum. Był on tu zwycięzcą i należał mu się tryumf.

Kościół uznał go za męczennika i mianował świętym; nikt przecie nie zna prawdziwego jego nazwiska. Jedni zowią go Almachus, drudzy Telemachus; ale są to jedynie przypuszczenia, oparte na tem, że chwila przybycia jego do Rzymu, odpowiada chwili zniknięcia tak zowiącego się pustelnika na Wschodzie. Z pewnością nikt powiedzieć nie może, kto on był, jaka ziemia go rodziła? i musi też pozostać na zawsze w pamięci ludzkiej jako święty nieznany. Jest to duch Ewangelii, jest to wcielenie idei Chrystusowej miłości i miłosierdzia....

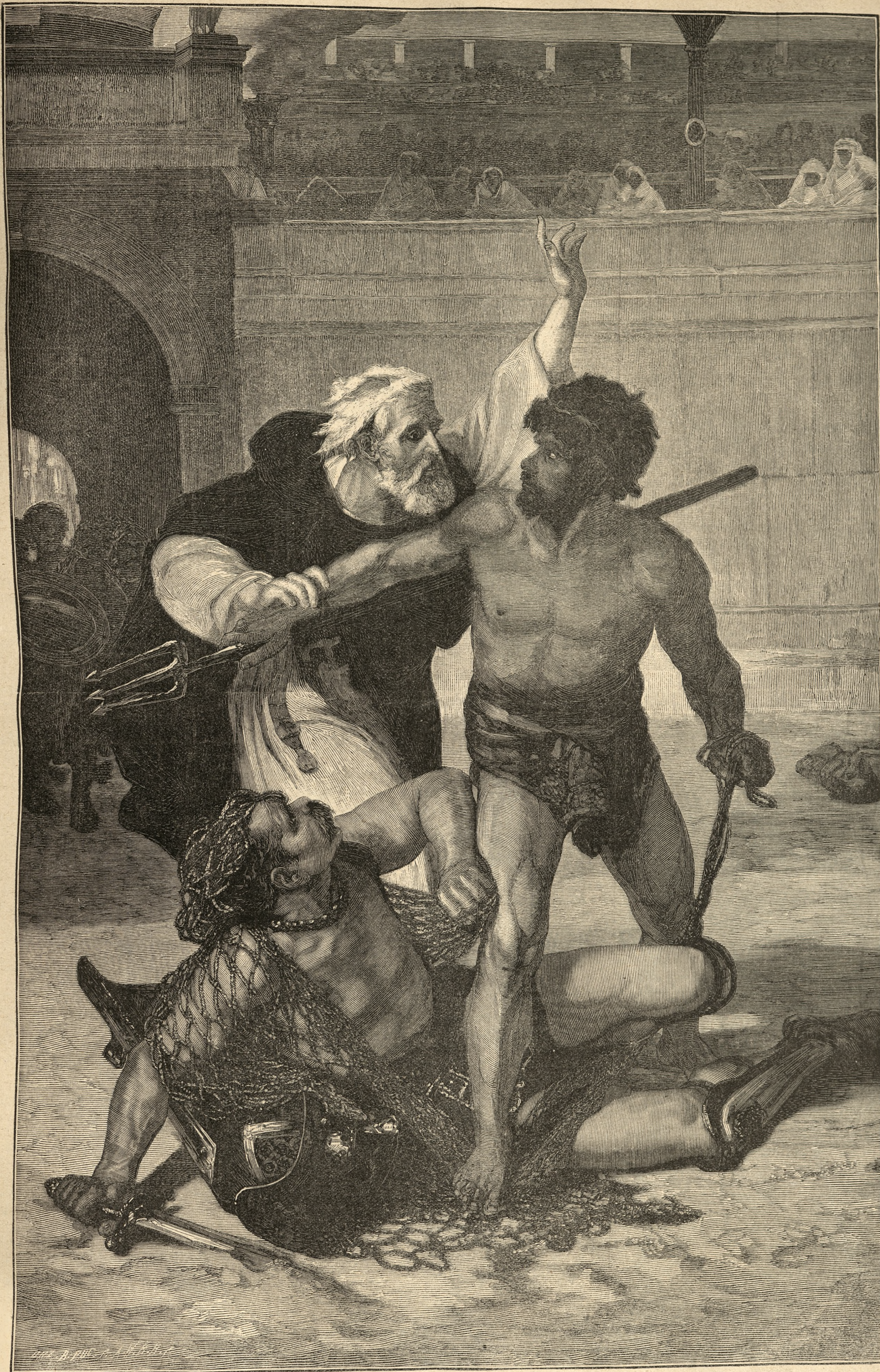
M. I.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Październiku 1883 r.

Sajm.—Ustawa o zakładaniu nowych szkół wiejskich. — Szkoła artystyczna przemysłowa. — Życie towarzyskie podczas sejmu. — Piękny czyn kupiectwa lwowskiego. — Szpital dla chorych nieuleczalnych. — Zmarli: Henryk Schmitt i księgarz Richter. — Odczyt profesora Remana o plemionach pierwotnych Południowej Afryki. — Wydania „Macierzy“ i inne nowości literackie. — Restauracya fresków w kościele OO. Bernardynów.

Pięć tygodni obradował sejm, na którego czynności przez cały ten czas głównie zwróconą była uwaga kół tutejszych, zajmujących się sprawami publicznymi. Była to pierwsza sessja, rozpoczynająca nowy sześciolatek okres sejmowy po przeprowadzeniu nowych wyborów. Skład sejmu znacznie się różnił od składu sejmów dawniejszych, a charakterystyczną jego cechą jest to, iż na ławach sejmowych nie zasiadł tym razem ani jeden włościanin, jak dawniejszymi bywało czasy. Ludność włościańska przekonała się z doświadczenia lat kilkunastu, że lepszych obrońców praw swoich w Izbie, na które zresztą nikt nie godzi, znajdzie w inteligentniejszych od siebie sferach, i przekonania tego dowiódł przy wyborach, poruczając mandaty poselskie osobom z tej sfery społecznej, do której przedtem zdawna nieusprawiedliwioną żywił nieufność. Obrady sejmu tegorocznego utrzymały przekonanie do ludności włościańskiej, albowiem najważniejsze wnioski, bądź-to załatwione, bądź na stół Izby wniesione, i oczekujące jeszcze załatwienia, dotyczyły po większej części polepszenia bytu włościan. Pomiędzy innemi sprawami szkół wiejskich, będąca kamieniem węgielnym oświaty ludu, była jednym z głównych przedmiotów obrad tej sesji sejmowej i załatwioną została pomyślnie, w sposób rokujący dobroczynne w swych skutkach na polu rozszerzenia oświaty ludowej plony. Dotychczas, pomimo starań Rady Szkolnej i funduszków na to użytych, połowa niemal gmin w Galicyi, a przynajmniej trzecia część z górą, nie posiada szkół z tej przyczyny, że ustawa szkolna dawniejsza wymagała organizacyi takiej szkół, na jaką, z braku funduszków, nie wszystkie mogły się zdobyć gminy. Rada szkolna znievolona zatem była całą staranność zwrócić na ulepszenie wedle wymagań ustawy szkół już istniejących, z pominięciem zakładania nowych na czas nieograniczony. Na tę okoliczność zwrócił swą uwagę sejm tegoroczny za pobudką marszałka



Ostatnia walka gladiatorów.

Zyblikiewicza, który pierwszy podniósł myśl, aby zmienić powyższy kierunek działania Rady Szkolnej krajowej i zamiast zaprowadzania reform ulepszących w szkołach ludowych już istniejących zająć się raczej zakładaniem szkół nowych, wszędzie tam, gdzie ich dotąd niema, chociażby z programmatem ograniczonym tylko na naukę czytania, pisania i rachunków,—tych elementarnych a niezbędnych podstaw wszelkiej oświaty. Zdanie to przeważało ostatecznie i uchwalono na podstawie jego wniosek posła Czerkawskiego, zawierający programmat nauki w tego rodzaju szkołach pomocniczych, których zakładaniem na mocy uchwały sejmowej ma się natychmiast zająć Rada Szkolna i przeprowadzić rzecz w przeciągu lat dziesięciu. Tak więc za lat dziesięć każda gmina będzie miała swoją szkołę, a przynajmniej szkolkę, a tegorocznej sessji sejmowej należy się wdzięczność za uchwałę, dążącą skutecznie do rozszerzenia oświaty pomiędzy ludem, która w następstwach swoich stanie się z czasem podstawą jego dobrobytu.

Jest też nadzieja, dzięki wnioskowi i staraniom posła Wierzbickiego, utworzenia we Lwowie, przy tutejszym muzeum przemysłowem, szkoły artystyczno-przemysłowej, w której rękodzielnicy będą pobierać naukę ornamentyki artystycznej do rozmaitych rzemioł zastosowanej. Istniejąca już dzisiaj u nas szkoła przemysłowo-rękodzielnicza, pozostająca pod opieką, wiele pod tym względem zasłużonego p. Wierzbickiego, rozwija się głównie w tym kierunku i jest już niejako zawiązką projektowanej przyszłej szkoły artystycznej, o czem można się było przekonać z urzędzonej niedawno temu wystawy prac uczniów pomienionej szkoły, pomiędzy któremi główną rolę odgrywały rysunki ornamentacyjne i piękne rzeźby do przyozdobienia stolarszczyzny służące.

Podczas sejmiku rozbudziło się także w miasteczku naszym życie towarzyskie, jak nigdy niebywało przedtem w tej porze. Krótkie przerwy czynności sejmowych, poświęcone wypoczynkowi, zajmowały oficjalne przyjęcia, obiady i zgromadzenia wieczorne, dla uczczenia posłów wyprawianych u Marszałka Krajowego, u nowo-mianowanego Namiestnika Zaleskiego i u prezydenta miasta. Z okazji zjazdu sejmowego był też urządzony bal z tombolą na rzecz *Domu pracy* przez założycielkę i główną orędowniczkę jego, księżnę Leonową Sapieżyńską urządzony, który ubogim piękny przyniósł dochód.

Miło jest widzieć szlachetnie podaną pomoc w nieszczęściu bliźniemu, z którego-to względu zasługuje na uznanie prawdziwie koleżeńskie postąpienie grona kupców tutejszych. Przed kilku tygodniami doznał ciężkiego ciosu właściciel handlu kwiatów naturalnych i robionych p. Stachiewicz. Przez nieostrożność zajęły się w sklepie od gazu wieniec w pobliżu gazowego świecznika zawieszony, i w kwadrans spłonął bez ratunku sklep z całym urządzeniem, i z przepysznego magazynu, przypominającego bogactwo wiosny lata, zaopatrzonego, jak żywy ogród, w mnóstwo swoich i egzotycznych krzewów; pozostała garść popiołu, za cały majątek właścicielowi. Ogień ogarnął tak gwałtownie magazyn, że gdy z pobliskiego ratusza przybiegła na ratunek straż pożarna, nie było już co ratować. Pożar w kwadrans zniszczył wszystko, co było w sklepie. W tem srogiem nieszczęściu kupiectwo tutejsze podało koleżeńską rękę dotkniętemu strata całego mienia. Urządzono natychmiast składkę w gronie kupieckim, znaczniejsze popłynęły summy, tak, iż dziś się dni został nanowo urządzony i otworzony sklep, równie obficie, jak dawniej, zaopatrzony a gdy właściciel wrócił ze szpitala, dokąd, poparty podczas gaszenia pożaru, musiał być przeniesiony, zastał już wszystko tak, jakby całe doznane nieszczęście było tylko przemijającym przykrym snem. I niechże wobec tego czynu utrzymują pesymiści że oprócz samolubstwa nie ma w świecie nic, co by znamionowało szlachetniejsze popędy w wystyglém naszym społeczeństwie! Nie, zaprawdę — tak nie jest: i słusznie powiedział Wincenty Pol:

Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie...

Nieźli są ludzie — i z prawdziwą przyjemnością widzi się dowody tego objawiające się w życiu społeczeństwa pięknymi czynami, ofiarnością usuwającej się częstokroć w skromności swej i cichej zasłudze przed okiem świata. Szczęśliwy, kto jest w stanie uczynić zadosyć pobudkom szlachetnego serca. Dzięki dobroczynności jednej z zamożnych pań tutejszych i za danym przez nią przykładem będzie we Lwowie wkrótce otworzony zakład, o którego potrzebie wiele mówiono ostatnimi czasy, jeden z najbardziej humanitarnych w rzędzie zakładów, przeznaczonych nato, aby niosły ulgę cierpiącym, mianowicie: szpital dla chorych nieuleczalnych. Takiego przytułku dla ciężkim losem dotkniętych nędzarzy nie było dotąd u nas. Do szpitali zwykłych nie przyjmowano ich, wychodząc z tej zasady, że właściwe przeznaczenie szpitali inne jest, a rozszerzać ich zakresu kosztem kraju nie podobna z braku funduszy, podczas gdy mnóstwo innych potrzeb krajowych wymaga znacznych nakładów. W tutejszej Radzie Miejskiej poruszono myśl założenia osobnego szpitala dla chorych nieuleczalnych kosztem gminy, ale projekt pozostał projektem i nikomu w gronie panów Radnych nie śpieszono było naciskać o doprowadzenie rzeczy do skutku. Obecnie zaofiarowała na ten cel pani Zofia hr. Baworowska 14,000 guld. na początek, a za jej pobudką i przykładem kilka innych jeszcze osób poczyniło na ten sam cel dary i zapisy, tak, iż zebrał się dostateczny kapitał żelazny, aby z oszczędności jego otworzyć zaraz już szpital wspomniany. Na pomieszczenie go odstąpiły tutejsze Siostry Miłosierdzia opróżnione jedno skrzydło w zabudowaniu klasztoru, obejmujące kilka sal obszernych, a gdy koszt jednego łóżka obliczono na sto guldenów, przeto odpowiednia temu liczba chorych będzie przyjęta bezpłatnie do zakładu, oprócz tych, co za pomieszczenie będą mogli płacić. Mówią u Lwowie, że jest miastem dobroczynnym, że może się chlubić swymi zakładami dobroczynnymi. Nowo-utworzony zakład jest pięknym, potwierdzającym to zdanie, świadectwem. Z małych stosunkowo początków wzrośnie on i rozszerzy się wkrótce: nie można bowiem wątpić, że gdy już początek zrobiony, zarówno gmina, jak i kraj przyczynią się do rozszerzenia tak dobroczynnego zakładu i nie poszczędzą mu swej opieki.

Ze smutkiem przychodzi wspomnieć o śmierci Henryka Szmitta, jednego z najgorliwszych pracowników na niwie dziejów krajowych, autora wielu dzieł historycznych, poważanego powszechnie, nie tylko ze względu na pracę pomienionych, ale również z wielkiej zachości charakteru i gorącej miłości kraju, której od lat najmłodszych na każdym kroku dawał dowody, biorąc czynny udział we wszystkich sprawach krajowych, nieraz nawet z narażeniem życia i wolności osobistej. Od lat trzydziestu, wycierpiawszy wiele w młodości, oddał się wyłącznie badaniom historycznym i pierwsze swe obszerniejsze prace mianowicie: *Rokosz Zebrzydowski* i *Żywot Hugona Kollątaja* ogłosił w *Dzienniku Literackim*, a następnie w osobnym oddziale książkowym. Równocześnie rozpoczął był także na obszerny rozmiar napisanie całkowitych dziejów polskich, ale przerwał wkrótce wydawnictwo, zajmawszy się opracowaniem monograficznem pewnych wydatniejszych epok naszej historii; zwrócił się mianowicie ku zbadaniu i opracowaniu epoki Stanisława Poniatowskiego, ku czemu dostarczył mu cennego materiału głównie archiwum Czartoryskich, które podczas kilkunastoletniego pobytu w Paryżu, studiował z wielką gorliwością. Oprócz tych dzieł, napisał śp. Szmitt na użytek szkolnej młodzieży parę podręczników, obejmujących całą historią polską, a obok tego wiele późniejszych rozpraw, bądź to historycznej, bądź okolicznościowej treści, w sprawach bieżących pedagogicznych lub społecznych. Wszystkie te prace, będące dowodem wielkiej sumienności w poszukiwaniach a zachości przekonań w poglądach i ocenieniu zdarzeń, stanowią piękny pomnik zasługi zmarłego. Ś. p. Szmitt, jako dziopisarz był obrońcą zasad republikańsko-demokratycznych, a temsamem przeciwnikiem śp. Szajskiego i szkoły historyków krakowskich, z którymi w ciągłej będąc opozycji, usilnie walczył o za-

sady. Przed laty dziesięciu wybrany z ramienia Wydziału Krajowego członkiem Rady Szkolnej Krajowej, oddał się głównie pracy na tem polu, usiłując tradycyę Komissji Edukacyjnej wskrzesić, oile się dało, w organizacji szkół ludowych w Galicji, których referat miał sobie w Radzie Szkolnej wyznaczony. Pracowity, jak zawsze, oddał się całą duszą nowemu temu zajęciu, i poświęcił mu niemal wyłącznie ostatnie lata życia swego. Rozległe-bo też i żmudne było to zadanie, dla tego, który je chciał sumiennie i z jaknajwiększym spełniać dla kraju pożytkiem. W przeciągu tego czasu, od uchwalenia w roku 1873 ustawy sejmowej o szkołach ludowych, uorganizowano około 3,000 szkół ludowych, a sama ta liczba daje dostateczną miarę pracy w tym przedmiocie podjętej, której ciężar przeważnie spływał na barki śp. Szmitta, jako referenta tego przedmiotu. Jego też zasługą są ogłaszane przez Radę Szkolną do roczne sprawozdania o stanie i postępie organizacji galicyjskich szkół ludowych, zawierające obok materiału statystycznego wiele uwag i zasadniczych poglądów w tym przedmiocie, służących za kierownicze postępowania Rady Szkolnej wskazówki.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYZKIE

Paryż d. 8 Listopada 1883 r.

Otwarcie nowego liceum dla panien w Paryżu. — Jak wygląda ta pierwsza szkoła paryska? — Organizacya wewnętrzna — Dyrektorka. — Honorarya professorek i dozorezy. — Programmat naukowy. — Przyszłość patentowanych uczennic. — Oplata roczna od wejścia do tego zakładu. — Jak było dawniej? — Droga w świat. — Zamejcia. — Ślub panny Góreckiej, wnuczki Mickiewicza. — Nowe książki „Dramat Macedoński“, admirała Jurien de la Gravière. — Nowy zeszyt „Historji Rzymskiej“ p. Duruya. — Panowanie Juliana Apostaty. „Mizopogon“, dramatyczny utwór tego cesarza. — Starożytności paryzkie. — Odkrycie dawnego cyrku Lutecyi.

(Dokończenie).

Niewychodząc z obrębów historii starożytnej, powiedzmy tu jeszcze słów kilka o dalszym ciągu Historji Rzymskiej, przez p. V. Duruy, byłego ministra oświecenia, za czasów ostatniego cesarstwa.

Nieraz już w moich listach wspominałem o tej obszerniej i pięknej pracy, która stanowi jedno z największych dzieł we względnie rozpowszechnienia najdzielniejszych czynników oświaty powszechnej. Dziś już składa się ona z sześciu obszernych tomów, wychodzi poszytami i ozdobiona jest wielką liczbą rycin, w textcie i poza textem, wykonanych przez doskonałych artystów.

Mówiłem już dawniej, jaki jest plan i rozkład tego dzieła. Zamyka ono w ogromnych swych ramach to wszystko, cokolwiek najnowsze prace uczonych i odkrycia archeologiczne pozwoliły rozświecić, rozjaśnić w historii Rzymu. Dziś więc wracam do tego przedmiotu, nie tykając całości historii, lecz jedynie z powodu nowego poszytu, który się jeszcze nie ukazał na świat, a którego pierwsze odbitki znakomity autor pozwolił mi łaskawie przeczytać.

Poszyt ten stanowi część ósmego tomu historii i poświęcony jest panowaniu cesarza Juliana, znanego powszechnie pod nazwiskiem Juliana Apostaty, którego legendowy okrzyk *Galilae, Vicisti!* został jakby piętnem i godłem tego Cezara.

„Julian, jest to jedna z najciekawszych figur historii, powiada p. Duruy — człowiek, którego, poznawszy bliżej, szanuje się, a nawet kocha, a którego politykę, zmuszeni jednak jesteśmy potąpić! — Tak jest w rzeczywistości; dwóch ludzi znajdujemy w tym człowieku: prywatną, złą i poważną osobę, i panującego, zagorzałego, ideologa i sektarza.

Przez długi ciąg, lat 18, moralnego więzienia, zamknięty sam w sobie, Julian, jak Marek Aureliusz, jego bohater i modła, poszukiwał owego ideału doskonałości moralnej, celu wszystkich jego marzeń i życzeń. Zostawszy cesarzem, prze-

jęty jest uczuciem swego obowiązku, tak wyso-
kiem, że je streszcza i wyraża temi słowy: — „Kró-
lowi należałoby mieć naturę boską“.

Ale umysł jego, czysty i jasny, w kwestyach ad-
ministracji i wojska, gubi się wśród najdziwniej-
szych pomysłów i marzeń, skoro wstępuje na sfer-
y filozofii i religii. Jest to szczególnie i nadwy-
czajny typ ideologa, ten Cezar, obyczajów suro-
wych i prostoty życia prawie ascetycznej.

Wzrosły i wychowany w zasadach Religii Chrze-
ścijańskiej, wskutek późniejszego naukowego kie-
runku, a szczególnie w skutek ścisłego obcowania
z retorami i filozofami swojego czasu, którzy mu,
na swoje wiare, dali poznać i zrozumieć staroży-
tnych pisarzy. Julian skrycie i tajemnie wraca
do pogaństwa, a skoro zostaje cesarzem, zrzuca
ciężką mu maskę obłudy. Stara się, usiłuje otwar-
cie przywrócić w państwie panowanie staroży-
tnych, pogańskich bogów. Dziwna mieszanina
prawdziwej mądrości i mistycyzmu, najwznioslej-
szego rozumu i najgłębszych zabobonów; nie-
wierzący w cuda Chrystusa, a przywiązujący naj-
większą wiarę do uroków czarodziei pogańskich,
był to, jak świadczy historia, zagorzały i niebez-
pieczny ideolog.

Obszerne i ciekawe szczegóły, które podaje pan
Duruy o życiu Juliana, malują dobrze jego czasy
i jego osobistość i są niezmiernie ciekawą częścią
jego opowiadania. „Julian—powiada p. Duruy,
czyta w najgłębszej tajemnicy, jako zakazany
owoc, mowy Liboniusza, wymownego retora, któ-
rego słuchać osobiście nie wolno mu było; z roz-
kazu cesarza Iliada była jego Ewangelią, a Ho-
mer i Platon, tak zachwycali jego umysł, iż się
z nimi nigdy nie rozstał. Pomimo rozkazów i
napomnień, kazał się w Pergamie wtajemniczyć
w Neo-Platońskie misterya, przez jednego z uc-
zniów, sławnego Jamblika; a w Efezie, zapośred-
nictwem jednego z wielkich czarodziei tamtej-
szych, przystąpił do tajemnic religii potępionej.

Podzielił swe życie na dwie części — jakby ze-
wnętrzną i wewnętrzną. Jedną, oficjalną, for-
malną, poświęcał cesarzowi i podejrziwym dwor-
zanom jego; drugą, istotną, sobie samemu tylko,
kryjąc troskliwie przed obcem okiem skłonności i
zamiłowania swoje. Wskutek tego przymusu cią-
głego, Julian zagłębiał się coraz-to silniej, w tej
nienawiści do wiary, którą mu narzucano, i jakby
gwałtem wciskano do duszy. Ulubionym mu ob-
rędem, tym, ku któremu od dzieciństwa czuł naj-
większy pociąg, i jakby jakieś instynktowe uczu-
cie pobożności, szczególnie była cześć oddawa-
na słońcu! W walce swojej przeciw Galilejczy-
kom, widział jakby sprawę najwyższej świętości,
której obrońcą był wybrany i przeznaczony od lo-
su, głosem tajemniczych wyroczni, krążących
wśród pogan.

Przywołany do dworu, do Mediolanu, po śmier-
ci brata swojego żył tam przez siedm miesięcy,
niepewny jutra, wystawiony na żarty i drwiny
dworaków i zagrożony podejrzliwą nienawiścią
cesarza Konstancyusza. Dzięki opiece cesarzo-
wej Euzebii, otrzymał następnie pozwolenie żyć
w ukryciu w Azji. Ale wkrótce Konstancyusz,
lękając się, aby mu nie podburzył wschodnich pro-
wincyi, w których przemieszczał dawniej, dał
mu rozkaz przeniesienia się do Grecyi, gdzie Julian
nie znał nikogo. Tam przecież w Atenach, gdzie
cześć oddawana bogom pogańskim była w wiel-
kiej wziętości, gdzie filozofia i literatura heleńska
kwitnęła — Julian poznał się prędko z filozofami i
retorami; zawiązał stosunki z Hierofantem (kapła-
nem przewodniczącym misteryom) z Eleusis i nie-
bawem poganie greccy położyli w nim wszystkie
swoje nadzieje; kiedy, przeciwnie, Chrześcijań-
cie, czując w nim wroga, mawiali ze zgrozą: — Cóż-to
za nowego potwora wykarmia Rzym tutaj!“

Przecież, gdy nagle Germanie zagrozili cesar-
stwu napadem na Galię, Konstancyusz, idąc za
radą Euzebii, zdecydował się wysłać tam Juliana
z władzą i tytułem cesarza; oddał mu nawet w za-
męcie siostrę swoją Helwę, daleko starszą od nie-
go i obcą mu pod względem serca i myśli. Smu-
tny to był związek i niedobre stadło, z którego
nie miał synów i który śmierć żony przerwała
wkrótce. Julian odparł zwycięzko najście Alle-
manów i odrzucił za Ren grożących Franków.

W przerwach działań wojennych w Galii Ju-
lian zamieszkiwał często w Lutecyi, w Pałacu
Łazienkowskim (*Palais des termes*) który od-
tąd zatrzymał jego imię, i w którym pędził życie
prawdziwego mędrca. Poranki i przedobiedne
godziny poświęcał zwykle sprawom państwa i
rozporządzeniom wojennym, resztę zaś dni — książ-
kom i biesiadom literackim i filozoficznym.

Słuchał uprzejmie uczonych i filozofów, który-
mi lubił się otaczać; rozmawiał chętnie z mądrym
Eleutherem, ze swoim szambelanem, z medykiem
swoim Orobazem i z Sallustyuszem, najzdolniej-
szym z generałów; nakoniec, pisał swoje pamię-
tniki o wojnie galijskiej, lecz te, na nieszczęście,
zatrzacone zostały, i dzieła czysto-literackie, jak
Misopogon.

Pan Duruy daje nam dokładny rozbiór tego
dzieła — i jako prawdziwą ciekawość literacko-
dramatyczną udzielamy czytelnikom „Bluszczu“
treściwej o niem wiadomości.

„Misopogon“ jest to mały, satyryczny obrazek,
który pokazuje: co myślał Julian, o swoich przod-
kach i daje nam wskazówkę, jakie wyobrażenia i
myśli krążyły już wówczas, w pośród oświec-
szych ludzi owej epoki.

Scena odbywa się na Olimpie. Romulus, obcho-
dząc święto Saturnaliów, rozkazuje przygoto-
wać świetną bardzo ucztę, na którą zaprasza
wszystkich cesarzy. Ale przed posadzeniem za
stół oddaje każdego z nich na sąd starego Sylena,
rodzaj olimpijskiego błazna. Widzimy wówczas
przesuwające się, przed tym dziwnym trybuna-
łem, cienie wszystkich Cesarzy Rzymskich, za-
czawszy od Juliusza Cezara do Konstantyna. Do
każdego i o każdym z nich Sylen powiada swe
słówko; jest ono albo pochwałą dobrego władcy,
albo piętnem i wyrokiem wykluczenia z uczt,
niejednego pana.

Po tym przesiewku koronowanych następuje
konkurs do wakującego krzesła na Olimpie! Wie-
lu kandydatów wysuwa się naprzód i pomiędzy
nimi: Cezar, Oktawiusz, Trajan, Marek Aureliusz,
Konstantyn i Alexander. Każdy zaleca swoje
zasługi; nie bez tego, aby od czasu do czasu, sta-
ry, wybredny Sylen, nie przerwał mówcy jakim
pieprzonym przekąsem. Nakoniec, żądane krzesło
otrzymuje Marek Aureliusz, a Merkury zaprasza
spadłych kandydatów, aby zechcieli zasiąść na po-
ciechę przy najmilszym im bóstwie.

Wówczas, kiedy Marek Aureliusz zajmuje wa-
kujące krzesło, przy boku Saturna, rodziciela bo-
gów, Alexander bieży do Herkulesa, Oktawiusz
do Apollina; Cezar waha się chwilę, niepewny ko-
mu dać pierwszeństwo, aż Wenus, luba prababka,
z Marsem, wzywają go ku sobie; Trajan śpieszy
za Alexandrem, a Konstanty rzuca się pomiędzy
zniewieściałość i rozpustę! „Tu się pokazuje — po-
wiada sprawiedliwie p. Duruy — cała niechęć Ju-
liana do tego, który zapewnił tryumf cześci odda-
wanej Nazareńczykowi!“

Na tem się kończy ten zeszyt Historii Rzym-
skiej — i ten piękny i nauczający ustęp dzieł,
którego nasze treściwe sprawozdanie ledwie wię-
kszych dotknęło zarysów. Ciekawi znajdą resztę
w oryginale.

Ta historia Juliana Apostaty prowadzi nas do
krótkiej wzmianki o sławnych *Arenach Lutecyi*,
które w ostatnich czasach były przedmiotem do-
syć żywych rozpraw pomiędzy uczonymi członka-
mi Instytutu a nieukami Rady Miejskiej.

P. Duruy w swojej Historii Juliusza Cezara,
o której tylkośmy mówili, i w poprzednich to-
mach Historii Rzymskiej, skreślił szczegółowy
obszerne i mistrzowski obraz życia publicznego
w miastach, to jest tej organizacji społecznej i
państwowej, którą u Rzymian zwano: *Municipium*.

Warunki, tak jasno skreślone przez uczonego
autora, były też warunkami miasta, które nosiło
wówczas nazwisko. *Civitas Parisii* albo *Lutetia Pa-
risiorum*, to jest: Miasto Paryż albo Lutecya Pary-
żanów. Ale, jak dotąd, jedynym śladem piśmiennym
współczesnym tej egzystencji municypalnej była
prosta wzmianka na liście wykazującej 60 miast

(municypiów), utworzonych lub utwierdzonych
w swych prawach, przez założyciela monarchii,
Augusta. Kilka drobnych zabytków starożytno-
ści gallo-rzymskich, odszukanych przypadkowo,
nie rzuciły wcale wielkiego światła na tę kwe-
stję — i genealogia Paryżanów cierpiała na tym
braku legitymacyjnych dokumentów. Jakto —
miasto-jasność, miasto-światłość, miasto-głowa i
serce świata — nie może dowiedzieć swej starożytno-
ści ósmnastowiecznej? To rzecz niesłychana! Aż
oto, odkryte w 1870 i 1883 roku szczątki, jak się
zdaje, Cyrku, czyli tak zwanych *Arena*, Lutecyi,
stolicy owych to starych *Parisii*, przyniosło tej
odległej epoce coś, jakby niezaprzeczony dowód, bo
pomnik wielkiej bardzo wagi — tak myślą przynaj-
mniej uczeni....

Budowa tego Cyrku zdaje się należeć do epoki
Antoninów, to jest do drugiego wieku naszej ery,
i wprowadza nas do najświetniejszych czasów ży-
cia prowincjonalnego, za Cesarstwa Rzymskiego.
Był to rzeczywiście wiek złoty municypiów.

Wokoło tego zabytku starożytności — położony
on jest na lewym brzegu Sekwany, w centrum tak
zwanego *Quartier Latin*, u podnóża wzgórz Pan-
teonu i na przecięciu ulic: Monge i des Ecoles — ła-
two jest przedstawić sobie, jakie inne musiały wzo-
sić się gmachy, i jaką być mogła wewnętrzna or-
ganizacja miasta. Rzymianie, jak wiemy, mieli
na to modłę i formę, do której wszyscy musieli się
stosować.

Wielkie rozmiary tego Cyrku (przeciętna bo-
wiem linia jego elipsy wynosi więcej niż 50 me-
trów), liczne, ogromne odłamy kapiteli, kolumn i
płyt posadzek, pochodzące z tych ruin i dawniej
już zużytkowane do budowy domów nowego Pa-
ryża, świadczą, że stolica dzisiejsza Francyi już
w drugim wieku naszej ery miała swe polityczne
znaczenie, którego się nie domyślano dotąd.

Julian Apostata założył w niej swą główną
kwaterę, i tu był jego ulubiony pobyt, bo znalazł
w niej, i dobry punkt strategiczny, i rzymskie in-
stytucje w pełnym rozwoju, a zapewne i dokła-
dne naśladownictwo tej pięknej, municypalnej or-
ganizacji, określonej tak porządnie prawem, zwa-
nem: *Lex Julia*, niestety, zatracanem dzisiaj.

Jak mówiłem, łatwo przedstawić sobie, iż
wokoło tego teatru (cyrku) i na murach sąsie-
dniego zapewne pałacu, gdzie zasiadali członko-
wie *Kuryi paryskiej*, musiały się rozwijać pierw-
sze sceny politycznego życia tego Municipium
Paryżów. Cyrk, którego odnaleziono resztki od
lat dwunastu, i *Bazylika* albo *Curia*, której dotąd
nie odszukano śladów — były to dwa bieguny, tego
rodzącego się świata politycznego. Ale sam cyrk
tylko przechował pamięć kolebki tego gallo-rzym-
skiego grodu.

Dzięki usiłowaniam uczonych zgromadzeń, —
a przed innemi, dzięki Akademii des Inscriptions
et des Belles Letres; założony został uczony komitet
z senatorów, posłów, akademików, archeologów,
ludzi dobrej woli i żądnych zachować od zagłady
te szanowne resztki gmachu, który nazwano słu-
śnie *Metryką urodzenia Paryża*. Dzięki powadze
i wdaniu się w tę sprawę takich ludzi, jak: Hen-
ryk Martin (prezes komitetu), V. Duruy, V. Hu-
go i t. d. usunięto na stronę opozycyę, która się
objawiła w początku w Radzie Miejskiej, i naby-
cie gruntu pokrywającego połowę cyrku, zawoto-
wane zostało nareszcie; druga zaś połowa, pokryta
dziś budowlami, wzniesionemi już dawniej, na
tych ruinach, na długo jeszcze pozostanie zapewne
nietkniętą.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

— Przytułek sierot pod wezwaniem św. Win-
centego a Paulo, wzniesiony za pomocą usiłowania
p. Konstantowej Górskiej przy ulicy Ordynackiej,
otwarty został. Zakład ten urządzony wzorowo,
z uwzględnieniem higienicznych i pedagogicz-

nych wymagań dzisiejszych, mieści obok siebie biuro warszawskich Sióstr Miłosierdzia.

— Towarzystwo Muzeum Pszczelniczego w liczbie 91 członków swoich mieści tylko pięć kobiet, a te są: pp. Bojarska Katarzyna z Charsznicy, Geisler Ernestyna z Warszawy, Pomorska Julia z Malic, Sobanska Marya z Sumówki, Wali-górska Alexandra z Puław. Towarzystwo założone zostało z 40.000 rs. kapitału zakładowego, który przedstawiało 400 akcji; z tych 158 zostało nabytych przez członków, pozostaje ich zatem 242 w posiadaniu założyciela. Piszemy to dla wiadomości pań naszych. Towarzystwo rozwija się bardzo szczęśliwie; 74 członków posiada pasieki własne, przeważnie w ulach nowego systemu.

— Miss Alicya Gardner, niegdyś studentka na uniwersytecie w Cambridge, autorka rozprawy: *Pogląd cesarza Juliana na chrystyanizm*, została profesorem historii w londyńskim kolegium Bedford College. Współcześnie ubiegało się o tę posadę dwiętnastu kandydatów mężczyzn.

— Uniwersytet Zurychski obchodził w d. 2 i 3 Sierpnia r. b. pięćdziesięciolecie istnienia swego, przyczem rektor, Dr Steiner, w mowie mianej przy otwarciu uroczystości, wliczył to między zasługi uniwersytetu, że pierwszy pomiędzy nowoczesnych, bo w 1867 r., otworzył aule swoje kobiecie, przez co rozwiązał na drodze praktycznej kwestyą jej wyższego wykształcenia. Ogłoszony drukiem przez profesora von Wyss rys historii uniwersytetu, mieści w sobie również historię studiów kobiecych. Niespodziewanie liczny wpływ studentek, głównie narodowości obcych, sprowadził za sobą niedogodności tej natury, że już w 1869 r. sześć studentek: Niemek i Angielek, zwróciło się do kantonalnej Rady Wychowawczej z prośbą, aby wymagalny examin dojrzałości utrudnił przystęp do uniwersytetu tym wspomniedzianym słuchaczkom, które nazwać należało raczej podróźniczkami, przebywającymi w Zurychu. W roku 1873 liczba studentek uczęszczających przeważnie na wykłady medycyny, wzrosła do 112, a gdy prośba wspomniana powtórzyła się, władza uniwersytetu uczuła się zmuszoną do obostrzeń, które wyszły na rzeczywistą korzyść kobietom prawdziwie nauki tu szukającym. Przez ciąg lat szesnastu Uniwersytet Zurychski przyznał stopień doktorski 30 studentkom, a z tych: 23 zostało doktorami medycyny (między temi Polka, Tomaszewicz, obecnie Dr. Dobrska); 3 filozofii (między temi Polka, p. Arendt); 4 matematyki i nauk przyrodniczych. W roku bieżącym studiuje w Zurychu kobiet 31, a to: 10 na wydziale filozoficznym, 20 na wydziale medycznym; 1 na politechnice słucha wykładów chemii.

— W Nowym-Orleanie zmarła kobieta, pochodząca z ludu, Siostra Miłosierdzia, której trumnę niesli do grobu, zmieniając się: mayor miasta, gubernator i senatorowie stanu Louisiana, oraz reprezentanci prassy, za trumną zaś, przy której poprzednio arcybiskup miejscowy mszę odprawił, postępowały dzieci dziewięciu przytułków dobroczynnych dla sierot, tak katolickich, jak anglikańskich i innych wyznań, oraz członkowie anglikańskiego Towarzystwa Dobroczynności „Howard“, a pisma rozmaitych stronnictw i wyznań: „New Orleans Democrat“, „Propagateur Catholique“, poświęciły jej pamięci wyrazy najwyższego uznania. Zmarła, Małgorzata Haughery, z domu Gaffney, rodem z Baltimore, była ubogą sierotą, w młodym wieku zaślubioną wychodźcy z Europy, Irlandczykowi, Karolowi Haughery, który zmarł w rok po ślubie, a urodzone już po śmierci jego dzieciątko żyło też tylko dwa miesiące. Działo się to już w Nowym-Orleanie; samotna i zboliała wdowa, mająca lat dwadzieścia, zwróciła się do

Sióstr Miłosierdzia reguły św. Wincentego a Paulo i weszła do ich zgromadzenia, gdzie oddała się pielęgnowaniu sierot i chorych, przyczem okazywała tyle poświęcenia i tkliwej dobroci serca, że bogaty przemysłowiec, którego doglądała w chorobie ostatniej, umyślił jej oddać majątek w przekonanym, że Małgorzata zrobi z niego najlepszy dla dobra ludzkości użytek. Ale pozostali jego bracia mogliby wytoczyć spór o spadek; umierający postanowił też zaślubić Małgorzatę, na co otrzymała pozwolenie od władzy duchownej, gdyż Siostry Miłosierdzia nie są związane ślubem dogonnym i uważać je trzeba, nie tyle za zakonnic, ile raczej za członków zgromadzenia filantropijnie-religijnego. Od tej chwili Małgorzata rozwinięła najszlachetniejszą i razem najroztropniejszą działalność dobroczynną. Nosząc zawsze nazwisko swe dawne, Haughery, zakupiła u przystani rzeki Mississipi położony hotel obszerny, czyniąc z niego gospodę dla robotników, pracujących w nadrzecznych warsztatach statków parowych i dla żeglarzy tychże statków. Tanie a posilne pożywienie i pomieszczenie uczciwe, odciągające człowieka ubogiego, od tych różnych zakładów wyzysku, gdzie wydawał zawiele i psuł się moralnie, bo czyhały tam, zaczajone na niego pokusy wszelkiego rodzaju: oto był użytek dobroczynny z powierzzonej Małgorzacie fortuny. Wkrótce tak liczne rzesze stołowników i lokatorów cisnąć się poczęły do „Margareth House“, że zakład dobroczynny mógł być łatwo stać się źródłem wielkiego majątku; lecz szlachetna kobieta nie uważała za własność swoją, nawet zapracowanego grosza i nieustająca w pracy, oszczędzając dla siebie aż do skąpstwa, zakładała kolejno, w miarę uzbieranego kapitału, przytułki sierot, których w chwili jej zgonu było trzy. Ale zgon ten nie przerwie dobroczynnej jej działalności, ciało już będzie oddawna prochem, gdy myśl jej zacząć jeszcze i działać nie przestanie, bo Małgorzata przysposobiła dla działania tego następcę. Chłopczyk jeden, wybrany pomiędzy sierot pierwszego, jaki wzniosła, przytułku, został przez nią, może z myślą o straconym swym synku, przybrany za dziecko i wychowany pod jej wpływem i nadzorem osobistym, mianowany następnie spadkobiercą, nie majątku, jaki przedstawiał hotel Małgorzaty, ale dzieła miłości bliźniego, które się tam pełniło. Przez ostatnią swą wolę, zapisała znaczne summy rozmaitym zakładom dobroczynnym, bez różnicy wyznań i narodowości: to też część publiczna, którą jej oddawano, pociągnęła wszystkich i była w całym mieście ogólną. Gdy zachorowała i choroba okazała się śmiertelną, najpierwsze panie z miasta i z okolicy przybywały, aby jej służyć, a gdy umarła, odbywały kolejno przy jej ciele straż dzienną i nocną, i same ją ubrały na spoczynek ostatni. Testament obowiązuje przybranego syna, aby i on podobnie przekazał komuś prowadzenie dalsze jej dzieła, z warunkiem uczynienia tegosamego, przy zejściu ze świata. Tym sposobem „Margareth House“ to instytucja ufundowana na wieczne czasy.

— Niemiecki deputowany, a znany postępowiec Lasker, w mowie swojej mianej w sejmie, tak z powodu wyższej nauki kobiet, określił pogląd swój na kobiety amerykańskie i ich stosunek do mężczyzn: — „Amerykanki przedstawiały mi się wogóle lepiej wychowanymi i wyżej wykształconymi niż mężczyźni. Wątpię jednak, czy rzecz ta jest dobrą i czy potrzeba kobietom niemieckim podobne wychowanie dawać. Większość mężczyzn nie ma czasu zajmować się książką, praca na chleb i pieniądz, daje im dość do czynienia; gdy tymczasem kobiety i dziewczęta mają wiele chwil wolnych, aby się kształcić i tym to sposobem zdobywają sobie przewagę duchową nad mężczyznami i pozyskują moc nad nimi. Nie mówię tu o nauce szkolnej, ale o tej ogólnej wiedzy, która,

jak sądzę, jest w Ameryce owiele więcej rozpo-wszechnioną niż w Niemczech. Amerykański systemat wychowania zdaje się mieć ten wyłączny cel, aby zapewnić kobiecie wyższość nad mężczyzną“. Słowa te Laskera zbijają bardzo rozpo-wszechnione mniemanie, jakoby radykalizm liberalny dążył szczególnie do podniesienia oświaty kobiecej.

— W Berlinie rozpoczął się z d. 24 Października pierwszy kurs wykładów dla kobiet o sztuce; prelegentką jest Emma Ribbach. Mówi ona w sali gimnazjum męskiego „Friedrich-Gymnasium“, a objaśnianiem lekcji jest zwiedzanie Królewskiego Muzeum prelegentki wraz ze słuchaczkami. Kurs pierwszy obejmie lekcji ośm. Kurs drugi, mający się rozpocząć d. 16 Stycznia 1884 r. liczyć ich będzie tyleż. Opłata za każdy kurs sześć marek, lekcya pojedyncza marka jedna. Odczyty Emmy Ribbach trwają corocznie już lat dziesięć i cieszą się zawsze znaczną liczbą słuchaczy. Bardzo się do tego przykładu niewysoka za nie opłata i czas dobrze obrany, bo odbywają się stale między 5-tą a 6-tą godziną popołudniu. W tym roku przedmiotem wykładów jest sztuka staro-niemiecka, jej porównanie z włoską; dalej sztuka flamandzka, którą prelegentka uważa za gałąź sztuki niemieckiej.

— Margrabina de Noailles, żona ambasadora francuzkiego w Konstantynopolu, otrzymała od sultana wielki Order Zasługi, za działanie dobroczynne, szczególnie względem młodych dziewcząt opuszczonych. Sultán wręczył jej order osobiście.

Tanie zbiorowe wydanie

POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

Wychodzić będzie w dalszym ciągu

W ROKU 1884.

W następnym roku wyjdzie znów 20 tomów.

Prenumerata pozostaje dotychczasowa, t. j.:

w Warszawie:

Rocznie (za 20 tomów)	Rs. 6
Półrocznie (za 10 tomów)	„ 3
Kwartalnie (za 5 tomów)	„ 1 kop. 50.
Miesięcznie „ „	„ 50.

Na prowincyi i w Cesarstwie:

Rocznie (za 20 tomów)	Rs. 7
Półrocznie (za 10 tomów)	„ 3 kop. 50.
Kwartalnie (za 5 tomów)	„ 1 „ 75.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tyt.: *Książęce gniazdo*.

TREŚĆ. Nad głębiami, (poezya), przez El-y. — Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Jarosław Vrchlicki, (dokończenie), przez Zenona Przesmyckiego. — Ostatnia walka gladiatorów, przez M. I. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Nowiny paryżkie, (dokończenie). Kronika działalności kobiecej.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Ноября 1883 года.